

ROZMAITOŚCI.

Dnia 31 stycznia,

N^o 5.

roku 1846.

SCENA Z WOJNY HISZPAŃSKIEJ w r. 1810.

Po krótkim zawieszeniu broni zaczęły się znowu liczne bandy gerylasów coraz śmielej pojawiać i całą granicę francuzką niepokoić. Wyprawiono więc kilka nowych oddziałów wojska do Hiszpanii, aby gerylasów jaknajspieszniej w głąb półwyspu odeprzeć. Oddział, w którym ja się znajdowałem, zmierzał do Andaluzji. Byliśmy w dość znacznej liczbie, mając kilka pułków piechoty, artyleryją, a nadto długi szereg wozów z amunicją, poruczonych naszej obronie. Szliśmy bardzo piękną okolicą i w najpiękniejszej porze roku, bo w pierwszych tygodniach wiosny. Postępując małemi marszami, mieliśmy dość czasu napatrzeć się okolicy. Wiosna hiszpańska sprawdza najśmielsze rojenia o tej romantycznej porze, która tu w istocie stroi się wszelkimi wdziękami pogodnych, szafirowych niebios, cudnego blasku słońca i łąk kwiecistych, o jakich gdzieindziej nawykliśmy słyszeć tylko w mowie poetów. Nasz oddział odbywał ochoczo drogę ze zwykłą wojskową bacznością i przeczornością; mimo to jednak nie podobna było uszpedzić się od napadów pojedynczych band gerylasowskich, przyczem zawsze kilku ludzi ofiarą padło. Lecz ta okoliczność, zamiast przejmować nas obawą, powiększała owszem powab naszego pochodu. Na pierwszy wystrzał gerylasów ścieśniała się kolumna, wołyżerowie i lekka piechota rozprószali się po górach aby wziąć tył Hiszpanom, a wyjąwszy stratę ludzi, były te sceny zazwyczaj bardzo maiownicze i zajmujące.

Tak postępowaliśmy zwolna aż do pogórza Sierra-Morena. Tu niesłychanie złe drogi, które od czasów rozpoczęcia się wojny zupełnie zaniedbano, popsuły tak dalece większą część naszych wozów prowiantowych, iż je trzeba było wszystkie naprawiać; jednakże znajdując się już w prowincyi, która całkiem pod władzą naszych wojsk zostawała, wolał nasz dowódca iść dalej z głównym korpusem, niżli dla naprawy wozów się zatrzymywać. Odkomenderowano więc kilkuset lu-

dzi z rozkazem eskortowania wozów do głównej kwatery, znajdującej się w mieście o trzy dni marszu odległem.

Byłem jakoś niezdrów, i zostałem się przy wozach. Nie długo jednak bawiliśmy na miejscu, gdyż już na drugą dobę ruszono w pochód. Na nieszczęście przyszło naszemu komendantowi eskorty na myśl, nie postępować prostym gościńcem, lecz dla wynagrodzenia straty czasu, wziąć się krótszą, przez las wiodącą drogą. Zrobiłem go uważnym, jak niebezpieczne są wszelkie boczne pochody w tych stronach, lecz otrzymawszy w odpowiedź dość wyraźne napomnienie, iż nie stoję tu jeszcze na czele własnego pułku, musiałem zamilknąć, i puścił się w głąb lasu.

Jakiś czas szło wszystko jak należy. Wszakże niebawem zaczął las coraz bardziej gęstnieć i ciemnieć, nasza wążka drożyna stawała się co chwila cieńszą i niedostępną, a wreszcie zaszliśmy w taką gąszcz nieprzebytą, iż trzeba było koniecznie się zatrzymać. Zastaliśmy tu także naszych dragonów, którzy udawszy się przodem, zaczęli tu na główną kolumnę, aby się w lesie nie zgubić. Zaledwieśmy tak kilka kroków naprzód dla zbadania gęstwiny postąpili, padł nagle wystrzał, a wtyjże samej chwili otoczyła nas zgraja gerylasów, przybawających zewsząd w coraz znaczniejszej liczbie.

Komendant nasz postrzegł się w błędzie, i zamierzył to jak najlepszym urządzeniem obrony powetować. Cała kolumna stanęła; piechota uszykowała się na czele, strzelcy zajęli oba skrzydła, a dragoni posunęli się o jakichś dwadzieścia kroków w gęstwinę, aby tam pójść z nieprzyjacielem na rękę. Już się ogień rozpoczął, lecz nieprzyjaciel miał zanađto górę nad nami, gdyż mógł nas brać na cel pojedynczo, podczas gdy my tylko na oślep przeciw drzewom strzelać musieli, i na nich jedynie zemstę swą wywierali. Nie wyszło kilka minut, a już kilkunastu dragonów padło, poczem reszta, po większej części raniona, nazad się ku nam cofnęła. Wysłane ku pomocy plutony infanteryi doznały wkrótce tegoż samego losu, i musiały powrócić. Wyprawiono więc znowu trzydziestu dra-

gonów z rozkazem, aby wszystko przed sobą na śmierć zrąbali. Dragoni uczynili co mogli, ale nie będąc w stanie stuletnich obalać dębów, wyginęli w połowie, a w połowie, gęstym ścigani ogniem, nazad po kilku minutach nadlecieli.

Zle z nami było; lecz nie traciliśmy odwagi. Nasz komendant, lubo nas tak niebacznie w tę zasadzkę wprowadził, był wcale doświadczony i waleczny oficer, a żołnierze bronili się zapamiętale. Przedzielaliśmy się więc z ciągłą stratą, lecz raźnie coraz dalej, aż wreszcie przybyliśmy do nieco przestronniejszego, wolnego ostępu w pośrodku lasu. Tu odnowiła się walka na zabój; nieprzyjaciel, lubo po większej części z prostego chłopca złożony, miał niezrównanych strzelców, i dopiero po całogodzinnej rzezi, przełamaliśmy szeroki gerylasów i wyszli nareszcie z lasu. Straciliśmy jednak wszelkie bagaże; dwie trzecie części eskorty zostały trupem w lesie, komendant był ciężko ranny, a ja otrzymałem strzał w łopatkę.

To wszystko razem wzięwszy, było wcale nieprzyjemny wypadek, który nas w niezwyčajnie zły humor wprowadził. Szliśmy ponuro dalej, przedsiębiorąc sobie nie wpuszczać się już więcej na żadne boczne manowce, gdy oto po półmilo-wym inarszu, na skręcie gościńca, jakiś nowy las nam drogę zastąpił. Zrazu zatrwożył nas ten widok, lecz postrzegłszy ponad lasem wysterczające wieże jakiegoś zamku, nabraliśmy otuchy. Mogło nam to posłużyć za wygodną kwaterę dla oficerów, za przytułek dla rannych i bogatą zdobycz dla reszty. Zwróciłem wprawdzie uwagę żołnierzy na to, iż nie należy nam tracić czasu, lecz ciężka rana, jaką nasz dowódzca otrzymał, przywiodła go do wściekłości, a żołnierze francuzcy zdolali się wówczas rzadko kiedy widokowi hiszpańskiej własności oprzeć. Postanowiliśmy tedy wstąpić do zamku. Kilku wozom, które nam jeszcze pozostały, kazaliśmy stanąć przy drodze i wyprawiliśmy najprzód podjazd z strzelców konnych do starej dębowej ulicy, która do zamku wiodła. Nie było widać i żywej duszy w około zamku; wszystkie okna były pozamykane, i zdało się jakby wszystko wewnątrz wymarło; tylko psy wyły okropnie. Żołnierze zaczęli bić w bramę kolbami, ciskali kamienie w okna, i kilkokrotnie strzelili. Wszystko napróżno. Dopiero gdy pod bramę ogień podłożono, otworzyło się jedno z górnych okienek i ozwał się jakiś głos męzki, pytając czego żądamy. Oznajmiłiśmy, iż chcemy wnieść do środka i potrzebujemy żywności. Nato odpowiedziano, abyśmy do pobliskiego folwarku się udali, a tam wszystkiego podostatkiem znajdziemy.

„Nie,” — odrzekł przewodniczący nam oficer. „Nie dość na tém, musicie nam otworzyć albo użyjemy przemocy.”

„Nie wnijdziecie do środka” — odpowiedział tenże sam głos co wprzód. „Mamy dość ludzi do obrony; oddalcie się, albo życiem to przypłacicie.”

Te słowa oburzyły naszych żołnierzy, wzięto je za niewczesną zuchwałość, a podczas kiedy niektórzy drabiny przystawiali, aby się dostać do okien, inni zaczęli z karabinów strzelać do bramy. Lecz komendant zakazał wszelkie strzelanie, obawiając się aby gerylasów nie zwabić. Wreszcie wysadzono kolbami bramę. Lecz gdy ta z trzaskiem na ziemię runęła, zagrział oraz ogień z przynajmniej pięćdziesięciu karabinów, od którego kilkunastu naszych pierwszych śmiazków przed frontem legło. Reszta cofnęła się zrazu, lecz w tejże samej chwili cały korpus uderzył w bramę, i wtoczył się na dziedziniec zanim jeszcze Hiszpanie powtórnie broń nabić mogli. Niektórych z nich na miejscu zamordowano; ale większa część schroniła się do zamku, a złamtdą do przyległego parku, dokąd nasi żołnierze wcale ich nie ścigali, spiesząc raczej na łup do bogato ozdobnego pałacu.

Mnie cały ten napad mocno się nie podobał; i jedynie z ciekawości, jakoteż w chęci przyniesienia jakiegokolwiek ulgi biednym inieszkańcom dworu, wszedłem na dziedziniec. Już było prawie po wszystkiem, gdyż nawet wyższe piętra zostały opanowane. Mimo to jednak zdarzyła się jeszcze scena, której póki życia nie zapomnę. Kilku Hiszpanów czy nie mogło, czy nie chciało z miejsca ustąpić, i oparciu o mur na drugim końcu dziedzińca, bronili się do upadłego, z widocznem postanowieniem ledz raczej trupem, niż poddać się nienawidzonym nieprzyjaciołom. Zatarasowali się stosem nagromadzonych naprędcie drew, z zaktórych nieustannym ogniem naszych razili. W środku pomiędzy nimi postrzegłem jakiegoś szlachetnie wyglądającego małczyznę w bogatym stroju, będącego jak się zdało, ich naczelnikiem, obok którego stał młody, może piętnastoletni chłopiec, wołając ciągle: „Mordujcie, mordujcie tych Francuzów!” To trwało przez kilka minut, w którymto krótkim przeciągu utraciliśmy znów kilkunastu ludzi, aż wreszcie nasi strzelcy, rozszłoszeni tą uporczywą obroną kilku służących, razem na nich uderzyli i zasięk przełamali. W tej chwili padł towarzyszący naczelnikowi młodzieniec, a sam naczelnik, cofnął się zrazu o kilka kroków w tył, postąpił znów naprzód, i powalił się martwo na trupa. Ten widok odjął służącym odwagę do dalszej obrony, porzucili karabiny, spięli się szybkością śmiertelnej trwogi na mur, i uszli złamtdą do parku. Nasi żołnierze nie ścigali ich dalej, lecz rzucili się coperędzej na łup do zamku.

Po chwili nie było nikogo na dziedzińcu, tylko ja i mój służący; mnie zaś przeraziła ta scena mordy tak mocno, iż nie wiedziałem wcale, czy mam iść naprzód czy się wrócić. Cały dziedziniec był

zasłany trupami, na których widok byłoby się naj-
śmielsze oko wzdrygnęło, a z rozwartych drzwi i
okien zamkowych zalatywał dziki hałas rabującego
żołnierstwa.

Spoziórając jeszcze raz na to miejsce, gdzie owa
bohaterska garstka Hiszpanów do śmierci się bronila,
zdało mi się, jakby się jakaś wystająca z pomiędzy
trupów ręka ruszała. Pospieszyłem natychmiast
na to miejsce. Pićrwsze co mi tam w oczy uderzy-
ło, było oblicze zabitego młodziana, nad które za-
pewne nigdy nie piękniejszego nie widziałem. Miało
ono jeszcze ów wyraz dumy, który jego rzadkiej
piękności jakiegoś niewymownie wzniosłego chara-
ktetu dodawał, a który, nawet w tej chwili Apolli-
na Belwederskiego mi przypominał. Lecz był on
już zupełnie nieżywy. Nie mogłem jeszcze oder-
wać oczu od jego pięknych rysów, gdy tuż przy
boku, podniosła się jakaś postać, usiadła na ziemi,
i rzekła stłumionym głosem: »Czyż wam jeszcze
nie dość na tém, barbarzyńcy!«

Mniemałem iż widzę jakieś nadnaturalne zjawisko
przed sobą. Ten głos grobowy, te duże, śmiercią
śklące się oczy, z których jednak dzika jeszcze
nienawiść patrzyła, odjęły mi prawie wszelką przy-
tomność. Złémwszystkiem zbliżyłem się do ran-
nego Hiszpana, chcąc mu pomoc przynieść. Lecz
on nie zrozumiał mój dobrej chęci, gdyż obrócił
się wśród najokropniejszych bólów na drugą stronę,
objął młodzieńca w ramiona, a potem spojrzał na
mnie, jakby śmiertelnego ciosu oczekiwał. To prze-
raziło mnie jeszcze bardziej, i zda mi się, iż mi łzy
w oczach stanęły. Rzekłem mu więc po hiszpań-
sku, iż się myli, mając mię za jednego ze swoich
zabójców, iż ubolewam szczerze nad wszystkimi,
co tu się stało, i że radbym mu jaką przysługę
wyświadczyć. Wpółumiały. Hiszpan wlepił we
mnie oczy i rzekł: »Jesteś Francuzem, a masz prze-
cież serce?« — Nie było czasu wdawać się w po-
dobne rozprawy; odpowiedziałem mu przeto, iż
chciałbym go gdzieś w bezpieczne miejsce upro-
wadzić, lecz nie wiem dokąd.

„Już za późno,“ rzekł Hiszpan — „Umięram; a
nawet gdyby i nie ta rana“ — tu spojrzał na trupa
swego syna.

Zacząłem go namawiać, aż w końcu ozwał się
do mnie: »Dobrze więc; jeżeli mi chcesz tę ostatnią
przysługę wyświadczyć, tedy każ mi zanieść do
kaplicy, gdzie już oddawna mam przygotowane miej-
sce dla siebie.«

Podniosłem go z ziemi, i wraz z moim służącym
zanieśliśmy go z wszelką ostrożnością do kaplicy.
Dopiero tam ujrzałem, iż był śmiertelnie rannym.
Drzwi kaplicy stały otworem, i tamże złożyliśmy
nasze brzemie.

Mimo gwałtownego wzruszenia, nie mogłem się
wstrzymać, aby nie spojrzeć z zadziwieniem na we-

wnętrne urządzenie kaplicy. Ołtarz, kolumny,
wszystko to było z najpiękniejszego marmuru, ozdo-
bione najposzniejszemi rzeźbami. Lecz nad to wszy-
stko celował pomnik z kararyjskiego marmuru,
wznoszący się w pośród kaplicy. Miał on kształt
tumu, spoczywającego na czterech słupach, pomię-
dzy którymi leżała postać niewieścia z opartą na
rękę głową, jakgdyby spała; jej lica i wyraz ich,
miały coś nadzwyczajnie miłego w sobie. Na czte-
rech rogach pomnika paliły się cztery duże wosko-
we świece, a czarna aksamitna zasłona, którą za-
pewne owa postać okryła była, leżała tuż na ziemi.

Ranny Hiszpan opadał coraz bardziej na siłach.
Przemówiłem do niego, lecz nie był w stanie mi
odpowiedzieć. Nigdy jeszcze nie widziałem nic szla-
chetniejszego, nad to spokojne oblicze, które już
skrzydło śmierci w połowie ocieniało. Nie mógł
mieć więcej jak czterdzieści pięć do pięćdziesięciu
lat. To duże czarne oko, te dwa piękne łuki brew,
te nieco zarumienione gorączką lica, wreszcie te
usta, skrzywione boleśnym uśmiechem, który się
mówić zdawał, iż wszelkie ziemskie zabiegi są da-
remne, a w którym jednakże wyczytać mogłem
wdzięczność za moją ostatnią przysługę — to wszy-
stko razem, przedstawiało oblicze, jakie tylko na
obrazach Tycyjana i Da Vinci'ego obaczyć można.
Było prawdziwy typ hiszpańskiej grandecy i me-
lancholii.

Podąłem mu trochę wina i wody z kubłaka mo-
jego służącego, a on przemówił do mnie z najwyż-
szem nateżeniem:

»Miałem niegdyś żonę, lubą, ubóstwianą istotę,
którą mi niebo gwałtownym i okropnym wzięto
sposobem. Była ona godna przybytku niebieskiego.
Umarła przed pięćmi laty. Wystawiłem ten pomnik
dla nas obojga, złożyć mię przy jej boku.«

Nie zdołałem nic odpowiedzieć. On ścisnął mię
za rękę i rzekł: »Dziękuję ci za to spółczucie. Może
też spełnisz mi jeszcze jedną, ostatnią prośbę. Przy-
nieś mi tu trupa mojego syna, abym go jeszcze raz
ujrzał, a potem umarł.«

Uczyniłem to niechętnie. Cały plac był już pu-
sty, milczący. Żołnierze porozbiegali się do odle-
glejszych stron zamku. Wokoło nie było nic in-
nego, jak tylko śmierć i groby. Wzdrygałem się
wyjść na dziedziniec, gdziebym znowuż tylko na
krwawe musiał być patrzeć trupy. Przyznam się,
iż mi się w oczach zaćmiło, i drzałem jak kobięta.
Szlachetny Hiszpan nie nastawał już na mnie, sie-
dział nieruchomo wsparty o pomnik, wznosił oczy
w niebo, i szepcząc ostatnią modlitwę, skłonił gło-
wę na piersi — myślałem, że już zakończył ży-
cie. To pobudziło mię do wypełnienia częmpre-
dzej jego prośby. Wyszedłem na dwór, i za po-
mocą służącego, który na szczęście w pobliżu się
znajdował, przyniosłem ciało młodziana do kaplicy,

i złożyłem je obok ojca. Spoglądając tak na ich obu melancholijną piękność, postrzegłem, iż zpoza ołtarza jakiś staruszek z wielką trwogą wyglądał. Skinałem nań, aby się zbliżył, zapewniając, iż mu się nic nie stanie. Był to stary sługa rodziny, który ujrawszy trupa, rzucił się nań w boleści, targając sobie włosy z rozpacz, i złorzeczył zabójcom. W tej chwili obaczyłem, iż oczy ojca były jeszcze otwarte; spojrzął on raz ostatni na trupa swego syna, a potem na mnie. Posłyszałem go szepczącego: „Boże, pobłogosław ręce, która nas tu złożyła.” Późem objął młodziana za szyję, westchnął głęboko, i — już nie żył. Ja i stary sługa ukłękaliśmy przy ich boku, i płakaliśmy obaj.

Wkrótce nadeszli żołnierze; my wstaliśmy i nakryli ciała czarną zasłoną z pomnika. Już było pociemniało w kaplicy, a nasi żołnierze musieli sobie pochodniami przyświecać. Zapytali nas, co tam pod tą zasłoną się znajduje, lecz gdyśmy im powiedzieli, odwrócili się zawiedzeni w swoich nadziejach. Nie spojrzeli nawet na starego sługę, który mimo moich zapewnień, co chwila oczekiwał śmierci.

Wreszcie ozwały się bębny; wytoczono powozy i naładowano je zdobyczą. Zaczekałem aż wszyscy żołnierze wyszli, a potem dałem staruszkowi trochę pieniędzy i zaleciłem służącemu, aby swojemu zmarłemu państwu ostatnią chrześcijańską posługę oddali. W końcu pogrążony w smutnych myślach, podążyłem za wojskiem.

Z pierwszego wzgórza, przez któreśmy przechodzili, oglądając się poza siebie, spojrziałem raz jeszcze na zamek. Białe światło księżyca opromieniało jego wieżycę, a rozpamiętywując zdarzenia ostatnich godzin, przedsięwziąłem sobie stale — wyścąpić z wojska.

Posiedzenie magnetyczne.

Czy miałeś już łaskawy czytelniku to szczęście, być kiedy na posiedzeniu magnetycznym? Większa część odpowie zapewne zaprzeczeniem, dlatego opiszę tu jedno z takich przedstawień, któremu byłem świadkiem w Bordeaux w październiku, r. z. — Naprzód muszę powiedzieć — są to słowa korespondenta pewnego dziennika — iż nie jestem ani zwolennikiem ani przeciwnikiem magnetyzmu, i nie myślę nikogo ani za ani przeciw nakłaniać. Jedynym moim życzeniem jest, skreślić tu kilka scen tego cudownego widowiska, a ktokolwiek mnie zna, ten mnie zapewne nie posądzi, iż skwapliwie i z łatwowiernością do przypatrywania się im przystąpiłem. — Posiedzenie, o którym mowa, czyli jak na afiszu stało, *Séance d'oneyromantie*, odbyło się w dużej sali koncertowej, przy jasnym świetle gazowym, przed

licznie zgromadzoną lecz dobraną publicznością, wolną, przynajmniej w moich oczach, od wszelkiego podejrzenia o porozumienie z magnetyzerem, dr. Laurent, i jego jasnowidzącą, panną Prudence, gdyż wszystkie prawie współdziałające osoby, były mi osobście znane.

Jasnowidząca znajdowała się zrazu w obocznym gabinecie, gdzie ją dr. Laurent za pomocą pary z różnych ziół, która aż na sali ucuwać się dawała, w sen magnetyczny wprowadził. Dopiero po uspieniu, prowadzona przez magnetyzera, weszła na salę z zamkniętymi oczyma, postępując z lekka, ale dość pewnym krokiem. Stając się na środku, usiadła w dużym krześle na podniesionej nieco trybunie, okrytej kobiercem, który podług twierdzenia lekarza miał być niezbędnie potrzebnym do udzielania się magnetycznego płynu. Zresztą był dr. Laurent nadzwyczaj małomownym i niewyglądał wcale na szarlatana, a jeżeli się rzadko kiedy odezwał, tedy byłoto tylko dla wytłumaczenia nam ważności usypiania za pomocą pary zielnej, przezco powiodło mu się osiągnąć skutki, o jakich dotychczas nie słyszano.

Pierwsze eksperymenta ograniczały się na znaniem już czytaniu zawiązanemi oczyma, przyczem zarzucono jasnowidzącej na głowę pięć szalów, wziętych od dam pobliskich, a tak mocno pod szyją zawiązanym, iż się w istocie lękałem, aby się panna Prudence nie zadusiła. Tak osłonięta grała ona z każdym, kto ją do tego wezwał, po party *écarté*, poznając każdą kartę, chociaż dopiero po niejakiem namyśle. Stosownie do przepisu dr. Laurent miała jasnowidząca przy tym rękawiczki swego partnera na rękach. Skoro tenże jedynym dotknięciem się jej ręką w magnetyczny wszedł z nią raport, wymieniała mu ona dziwnie słumionym i nieco płacziwym głosem każdą kartę, jaką sobie zamyslił, albo jaką jej kto na plecach położył. Lecz podobne, takzwaną dyslokacją zmysłów wywołane zjawiska, są dość powszedne rzeczy, które już wielokrotnie widziano.

Później prosił p. Laurent, aby kilka osób z publiczności napisało na kartce, co panna Prudence ma czynić, i aby mu tę kartkę doręczono, zrobivszy jednak wprzód wybór tych zażądanych rzeczy. Gdy się to stało, przeczytał lekarz kartkę, stojąc nie przed panną Prudence, lecz za nią, i zaczął jej tajemniczym sposobem, bez wyrzeczenia słowa, wolę swoją objawiać. Wnet dało się widzieć gwałtowne nerwowe poruszenie na obliczu jasnowidzącej, która dotąd jakby bez życia siedziała, teraz zaś wstała, i z zamkniętymi oczyma, lecz pewnym krokiem ku publiczności zeszała, i wszystko uczyniła, czego w kartce żądano, to jest, zaniósła pewnej damie jeden z kilku wyznaczony jej bukiet, wyjęła jednemu z gości pieniądz z kieszonki w kamizelce i oddała go innej osobie,

zdjęła okulary jednemu a zasadziła je sąsiadowi i t. p., zgola wszystko dokładnie, jak publiczność sama tego żądała. Nawet błąd, który przypadkowo popełniła, zdawał się przemawiać za lekarzem. Żądano, aby jasnowidząca jednemu z pierwszych urzędników miasta, siedzącemu na samym końcu sali, bukiet zaniósła. Panna Prudence wzięła bukiet i oddała go innej osobie, którą dr. Laurent przez pomyłkę mniemał być owym wymienionym urzędnikiem. Skoro go jednak oświecono, zwrócił lekarz myśl ku istotnej osobie, poczem panna Prudence natychmiast ku niej poszła i bukiet jej doręczyła.

Daliej nastąpiły inne doświadczenia, które coraz bardziej dramatycznego charakteru przybierały, okazując zarazem niesłychaną dzikość publiczności i nielitościwość magnetyzera. Oznajmiono mu życzenie, aby sobie panna Prudence dziwne przywidzenia rozmaitych, niby zdarzających się jej wypadków rośnię, i uczuwane przy tém wrażenia umysłowe jakoteż dolegliwości fizyczne wyrażała. I tak n. p. jeden z widzów wziął ją za rękę i prowadził po rozpalonych węglach, po łupinach z orzechów, po lodzie, i t. p., jakto sobie za każdym razem pomyślił, a co jasnowidząca w istocie za każdym razem pod nogami ucuwać mniemała, jużto z kolei to drepcąc, to utykając, to wreszcie ślizgając się jak po lodzie. Towarzyszące tym ruchom poruszenia twarzy, drgania całego ciała, jakoteż pojedyncze wyrazy, były w najwyższym stopniu wymowne i naturalne. W podobny sposób mniemała pić z tegoż samego kubka, raz wino, drugi raz ocet, to znów oliwę i t. d., zmieniając za każdym razem, stosownie do mniemanego napoju, cały wyraz twarzy, ust poruszenia i t. d. Najsroźszy jednak widok przedstawił się nam, gdy jeden z widzów, będący właśnie przez samo dotknięcie w raporcie magnetycznym z jasnowidzącą, krew sobie w kubku zamyslił. Zaledwie panna Prudence kubek do ust przytknęła, natychmiast niewysłowione uczucie odrazy i zgrozy całą twarz jej skrzywiło, wrzasnęła przeraźliwie: »To krew!», rzuciła kubek, i padła śród okropnych, konwulsyjnych skurczów o ziemię — i już teraz po całej sali »*Bravo! bravo!*» jakby to była aktorka, zmyślająca jakieś niedoznanwane uczucia, nie zaś biedna, okropnemi przywidzeniami rzeczywście udęczona dziewczyna.

Podobna scena powtórzyła się, gdy jeden z tamecznych starych kapitanów okrętowych przystąpił do panny Prudence, i zamysliwszy sobie, iż jest na morzu podczas gwałtownej burzy, zapytał jej: »Gdzież jesteście?»

»Na morzu« — odpowiedziała jasnowidząca lekliwie. — »Ach, jakże wszystko się chwije! Nudzi mnie strasznie! Cóż za burza! Ach, okręt tonie! Dla Boga, ratuj mnie pan, ratuj! zginęłam!» To mó-

wiąc chwyciła się konwulsyjnie starego kapitana, i padła znowu martwa na ziemię. Stary żeglarz pobladł, chciał ją ocucić, lecz wstrzymany przez lekarza dał pokój, i wrócił zmieszany na miejsce.

Obecni lekarze, obejrzawszy ją leżącą ciągle na ziemi, oświadczyli, iż jest w zupełnie kataleptycznym stanie, i że wszelki obieg krwi ustał.

Po półgodzinnej przerwie, gdy ją znów oświeczono i jeszcze głębszym snem magnetycznym uspieno, wystąpiła panna Prudence w stroju greckiej kapłanki, z wawrzynowym wieńcem we włosach. Jej twarz, lubo nie może się nazwać piękną, jest przecież nadzwyczaj zajmującą, bladą i okazuje nazbyt wyraźnie ślady tych gwałtownych wstrząśnień, których codziennie tak nienaturalnym sposobem doświadcza. Wtęj chwili miała ona jakiś osobliwszy, osłupiały, grobowy wyraz twarzy, niepodobny ani do osoby będącej na jawie, ani osoby spiącej, ani też zupełnie martwej. Jej dość spaniała postawa, jej chód, jej ruchy, wszystko to było bez życia, a przecież różne wcale od bezwładnego ruchu automatów. Tylko kto lunatyka widział, ten może o tém mieć wyobrażenie.

Druga część przedstawienia zaczęła się od tak zwanych ekstatyczno-intuicyjnych postaw, które bywają największym tryumfem panny Prudence. Postawy te przedstawiały różne historyczne obrazy w tój lub owęj, zazwyczaj traicznej sytuacji. Naprzód już byłem pewny, iż podając lekarzowi kartkę ze spisem żądanych postaw, publiczność nie zażąda ani jednej wesołej postawy, lecz same okropne obrazy, jak np. »konającego gladyjatora« — »Dziewicę orleańską na stosie płomiennym« — »Herkulesa w zatrutej szacie Dejaniry« i t. p. Lekarz, który teraz w żadnym fizycznym raporcie z pacjentką nie zostawał, stał spokojnie w niejakiej odległości za panną Prudence, i zdawał się z wytężeniem wszelkich władz umysłowych zatapiać się myślą w owych żądanych obrazach, aby wzbudzone w sobie uczucia i wyobrażenia, nieznanym nam sposobem jasnowidzącej udzielić. Jakoż wkrótce zaczęła ona się niby ożywiać, ruszać, i przedstawiła nam te obrazy z nieco wprawdzie w półsensną i nie dość żywą, lecz mimo tego wszystkiego, tak przerażającą prawdą, jakiej żadna aktorka naśladować nie zdoła. Ileż w tém było sztuki magnetyzera, a ile jej własnej działalności umysłu? Mnie się zdało, jakoby wszystkie jej ruchy były pozbawione wszelkiej własnej indywidualności i woli, i jakby cała istota jasnowidzącej zostawała pod wpływem cudzej, zupełnie pochłaniającej ją władzy. Nawet jej w chwili najwyższego stopnia ekstazy otwierające się oczy, miały pomimo swego niezwyčajnego iskrzenia, przecież coś martwego i skłającego się w sobie. Jej coraz żywiej i żywiej wzmagające się ruchy zamierały natychmiast w nieruchomą skamieniałość,

skoro lekarz swoim umysłem działać na nią zaprzestał. Przybrawszy zaś tak nieruchomą postawę, trwała w niej dopóty, dopóki chciano — czego żaden w zwyczajnym stanie znajdujący się przedstawiciel żywych obrazów, żadną miarą dokazaćby nie potrafił. Gdy tak zupełnie w martwą statwę skamieniała, tedy można było przystąpić do niej i poruszyć ją: była sztywna i zimna jak marmur, i tylko sam lekarz był w stanie jedną myślą z tego czarodziejskiego zaklęcia ją przebudzić.

Powróciwszy do życia, otworzyła oczy jakby z głębokiego snu ockniona, spoglądała z zadziwieniem do koła, i twierdziła że nic o tém nie wie, co się z nią działo. Wyszedłem w dziwnych myślach z tego widowiska, które aby należycie opisać, potrzebaby mieć fantastyczne pióro niemieckiego dziwo-widza Hoffmana; zdało mi się, jakby i mnie także zmora dusiła, i nie uspokoiłem się wprzód, aż póki wolnym powietrzem nie odetchnąłem.

Jeżeli wszystko, co tam widziałem, było prawdą, tedy jestto rzecz okropna, aby pewna indywidualność ludzka, chociaż tylko na chwilę i w chorobliwym wzruszeniu, mogła być tak zupełnie przez drugą, cudzą indywidualność owładnięta i pochłonięta. I do jakichże wynikłości wiodą te magnetyczne zjawiska, — czyliż do materjalizmu, albo spirytualizmu? Jakiż stosunek zachodzi między magnetyzmem a owemi dawnemi wieszczami, wyroczniami, pytonami, sybilami i cudotwórcami starożytności, jakoteż i naszą terażniejszą ludnością wysep sztetlandzkich, obdarzoną cudowną władzą przewidywania na jawie odległych zdarzeń i osób, czyli tak zwanem *second sight*?

Któż nam kiedy tę zagadkę, — któż nam tyle innych jeszcze nieodgadnionych tajemnic wytłumaczy? Prawdąto, co śpiewa poeta „Świat duchów nie zamknięty...” —?

Ale dajmy pokój temu labiryntowi, do którego wszelka nasza umiejętność dotąd jeszcze pożądanęj nici Aryadny znaleźć nie może. Oby ona przynajmniej nadal coraz skrętniej to pasmo przędła, i śmiała! lecz oraz trzęźwą ręką głębiej nas w te umysłowe podziemia wprowadziła.

Wszakże nie do przebaczenia jest, iż się nikt tém nie zajmie, aby podobne zjawiska, należące pod sąd fizjologów i psychologów, nie bywały tak lekkomyślnie, z utratą zdrowia biednej, udęczonej jasnowidzącej — drugą, i słynniejszą jeszcze od panny Prudence, jest niejaka panna Pigeaire — dla płochęj rozrywki, bądźto nadaremnie trwożąc się tém i straszoną, bądź żartobliwie drwiącej publiczności, za lichy pieniądz, jak niegdyś sztuki Bajazza, przedstawiane.

Skarga żony.

Niedawny czas temu, znane niejednemu,
Potulne, cichutkie, zgodliwe,
Skrzętne, pracowite, w zagrodzie ukryte,
Siedziało człeczysko pocziwe.

Chatę obchodziło, czasem marudziło,
Lecz z chaty niewywab i miodem;
Lubiło spokojność, pracę, bogobojułość.
Na resztę zdało ci się lodem.

A teraz odmiana, dziwna niespodziana —
Cuda się z tym człkiem podziały!
Dwóch dni nieusiedzi, strojami się biedzi,
A rządy w chacinie — ustały!

Wnet są imieniny, słabych odwiedziny,
Lub sąsiad zaprosi łaskawy;
Dziesięć po dniu fety, hu anka, bankiety,
A wreszcie imienin oktawy.

Zamiast gospodarki szczoteczka lub marki,
O snopkach ani nie zamarzy;
Pytają o pana, pan w lustrze od rana:
Czy mu tak, czy owak do twarzy?

A wszystko mu wadzi; to łaje czeladzi,
Kobięcie nudziarstwo zarzuca;
I tylko czatuje, rychło kto zwerbuję,
I jużci chacinę porzucą.

A kobieta biedna; w chacie sama jedna,
Smuci się i tęskni i duma.
Bo to nie do wiary, to jakieś są czary,
Nie czary — oj sprawka to kuma!

Kuma to piosenki wesołe podzwiewki
Zbudziły uspioną ochotę.
Oj bieda!ż kobięcie! Lecz cóż poradzicie?...
Cóż robić? trza cierpieć niecnotę!

M. M.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego T. W. Kochańskiego* wyszedł nr. 4ty i zawiera: 1) Sprawozdanie z dziewiątego zgromadzenia niemieckich gospodarzy, odbytego w Wrocławiu na dniu 8mym września r. b. 2) O młynkach do czyszczenia zboża. Przez Hermana Meyer'a, kandydata gospodarskiego w Hohenheimie. (Z ryciną). 3) Przepłoty litewskie. (Z ryciną). 4) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 5) Przegląd statystyczny rocznie skonsumowanego cukru. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 3ci i zawiera, prócz mód, następujące szczegóły: 1) Zbrodnia i wyrok przysięgłych. (Ciąg dalszy). 2) Bartłomiej za granicą. (Bajka.) 3) Teatr. 4) Wiadomości literackie.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc styczeń zawiera: 1) Od redakcyi. 2) Spis rzeczy zawartych w 20 tomach *Bibl. Warsz.* od 1841—1845. 3) O dochodach z dróg żelaznych, przez W. Kolberga. 4) Pamiętniki szlachica z czasów Jana Sobieskiego; przez A. A. Kosińskiego. 5) O taksach dóbr ziemskich w W. Ks. Poznańskim, przez A. Michalskiego. 6) Zgon Chloryndy, z Tassa Jerolimy wyzwolonej; przez L. Kamińskiego. 7) O nowym systemie drewnianych bruków, przez Stanisława Wysokiego. 8) O romanse nowoczesnym, przez A. Cieszkowskiego. 9) Kronika literacka — zagraniczna — biblijografijna. — Rozmaitości. Doniesienia. Dostrzeżenia meteorologiczne za listopad 1845.

Potrącenie gramatyczne. Im większa wolność w budowie języka, tem głębszego budynek wymaga fundamentu; im śmielsze zwroty, tem ściślejszej prawidłowości potrzeba. — Chcemy tu pokrótce mówić pod jednym tylko szczegółowym względem: »Aby dwa rzeczowniki w jeden sens weszły, musi z nich jeden koniecznie w jakiś sposób zależeć od drugiego?« Tak nas uczy logika gramatyki; co znaczy: że jedno ma posiadać drugie lub mieć się do siebie przez zawistość, jak się ma przyczyna do skutku. A że skutek nie może mieć innych przymiotów jak tylko przymioty przyczyny, więc gramatyka na tój zasadzie pozwała rzeczownik zawisty, to jest będący *in genitivo*, zamienić w przymiotnik, jako w istotę mianownika; ale że zawistość posiadania przybocznego, t. j. zewnętrznego, różni się od genetycznego, jako rodzimo wewnętrznego; więc to prawidło co do zawistości pod względem posiadania zewnętrznego, jest dostateczne i ściśle myśl oznaczające; ale co się tyczy względu zawistości wewnętrznej, posiadania wewnętrznego, rozchodzi się z prawdą, bo ją nie zawsze ściśle oznacza, i w takim razie trzeba się mieć na ostrożności. Co niech kilka przykładów okaże: Czy powiemy »Łaska króla czy łaska królewska«, w znaczeniu nie ma różnicy, bo to jest przymiot właściwy królowi, król go mieć — posiadać powinien; lecz gdy powiemy »gniew, zemsta, królewska« nie zajdzie tu w znaczeniu domysł lub różnica? albo nie zaniesie się na królewski przymiot: na przebaczenie? Gdy powiemy »pałac królewski« zapewniamyż, że do króla należy, że król go ma — posiada? »Modlitwa ojca« powiadaż nam za kogo ojciec się modli? »Modlitwa ojcow ska« mówi wyraźnie, że za swoje dzieci. »Kij ojca — do ojca należy« kij ojcowski jest napominający. »Grzech matczyn, jest grzechem matki, ale nie jest macierzyńskim ani macierzystym, bo nie wszystkim matkom, ani przez miłość ani przez jakowś zewnętrzne znanie wspólny. »Mowa ojcow ska — mowa ojca« — jednoż znaczy? lub udowadniaż, że jest ojczysta, jaką cały naród mówi? »Sklep sukna, jestże sukienny — kolor wapna, jestże wapienisty lub jak woda, wapienny?« »Okolice Warszawy, sąż — jak piwo — warszawskie?« »Umysły dzieci, sąż one dziecinne lub — jak ich suknie — dziecięce?« »Zbór muzyki, jestże przez to — jak instrument — muzyczny — lub jak muzyk — muzykalny?« »Oręż bohatera, jestże — jak umysł jego — bohaterki?« »Ogród przyjaciela, jestże jak dom jego — przyjacielski?« »Słowo Boga, jest wprost, bezwarunkowo słowo boże; słowo boskie, względne, powstałe w myśli człowieka jako odbiłek słowa bożego. i t. d.

i. n. k.

Georgijanki słyną w Europie jako najpiękniejsze kobiety św. ata. Wyobrażają je sobie zwykle w postaci smukłych, czarownych Nymf, które jednemu spojrzaniem wszystkie serca niewolą. Tymczasem ma się rzezać wcale inaczej. Nie potrzeba wpaść w drugą ostateczność, i rozczarowawszy się z dawnych wyobrażeń o ich niezrównanej piękności, znajdować je w końcu szkaradniami, wszakże należy w istocie wyznać, że mężczyźni georgijscy są daleko piękniejsi od kobiet. Georgijanki mają po większej części bardzo piękną figurę, regularne rysy, duże oczy — lecz są to same zmysłowe, martwe zalety, pozbawione wszelkiego śladu owęj wyższej piękności, gdzie serce, umysł, dusza w jednym spojrzeniu oka, jednym uśmiechu się wyrażają. Zład widziawszy prawie wszystkie sławne piękności Georgii, nie widziałeś jednej twarzy, któraby cię zupełnie zadowoluliła, chociaż malowniczy ich ubiór wiele do uwydatnienia ich wdzięków się przyczynia. Zhywa im na owym szlachebnym, duchowym wyrazie, który pięknym Europejkom tak właściwego udziela uroku. Europejka może jeszcze ma łość obudzić i serce ująć, lub jej wiosna dawno już przemienęła, u Georgijanek przeciwnie z młodością wszystko niknie. Oko, które wprzód tylko żarem namiętności patało, przygasa w gnuśną spokojność; nos, który nie zawsze w granicy piękności się trzymał, wydaje się później przy zapadłych policzkach tak nienaturalnie wielkim, iż niektórzy na prawdę myślą, jakby on z czasem dorastał; piersi, które tu zawsze dość jawną rolę grają, robią się zbyt wczesnie przeciwieństwem wszelkiej piękności — co wszystko o ile u Europejek rzadziej widzieć się daje, o tyle na korzyść zadawnionej sławy Georgijanek nie przemawia.

Najznakomitsi mowcy parlamentu, podług opisu pana Venedey. Peel jest miernego wzrostu; podsadkowaty, z podrastającym brzuchem. Włos jasny, przerzedzony; ruchy zwinne, obrotne, podobnie jak i umysł, wyszczywany codziennymi utarczkami z przeciwnym stronnictwem; wygląda on najwięcej na lat 50. Wszyscy francuzcy dyplomaci, patrząc na nich, zdają się bez wyjątku starsi niż są w istocie. Widać, iż biorą sobie do serca, co mówią i zamierzają. Sir R. Peel był zawsze tylko adwokatem swego stronnictwa. Spokojnie, jakby o wcale obcą sprawę chodziło, a zgrabnie, jak do tańcu, przystępuje nasz podpasły, wymaskany baronet do stołu mówniczego, i prawi jasno, płynnie, po prostu. Czasem opiera się hardziej lewą ręką o stół, a prawą ręką o biodra, czasem cofa się zlekka o kilka kroków i skrzyżuje ręce na plecach jak Napoleon, lub układa je jak do modlitwy, i spogląda bardzo dobrotliwym, namawiającym wzrokiem na opozycję. W wyższym toku mowy gotów nawet ręką o stół uderzyć, lecz nie gwałtownie, jedynie dla formy. Jeśli zaś i to opozycyi nie skruszy, tedy obraca się w uniesieniu ku swoim stronnikom, i podrzuca im kilka szumnych frazesów, które oni oczywiście głośnie »Słuchajcie! Słuchajcie!« przyjmują. — Po lordzie Stanley można na pierwszy rzut oka poznać, iż on czuje, co mówi. Święty ogień namiętności przetrawił go całego i wysuszył jak szczypkę. Mowa jego gwałtowna, lecz szlachetna. Stałe on oko w oko naprzeciw nieprzyjaciela i nie waha się najboleśniejszą prawdę bez ogródki w ucho mu włożyć. Lord John Russell, podobny nieco do Lamenaia i Börne'go, maleńki, pękaty i niezgrabny na ciele, a rozwlekły, zawisty, i co chwila urywający w mowie, przy której nieustannie dwa kroki to wprzód to wtył postępuje, i zawsze obie ręce razem to wysu-

wa to nazad wciąga, co go wielce śmiesznym czyni. — Lord Palmerston — hardy, wyniosły magnat o wysokim, spianiałym czole, pięknych rysach, śmiałem, nawet drwiącym spojrzeniu, a niedbały, czasem zająkujący się w mowie. Ta ostatnia wada wybornie mu nieraz posłużyła, gdy jako minister kilka niezrozumiałemi wyrazami z kłopotu się wywikłał. Jednak w opozycji mówi on zawsze dumnie i śmiało, i z taką też polityką występuje.

»To dziw!» W Berlinie krąży obecnie tajemnicza nowina. Przed kilką tygodniami zdybuje pewien żołnierz w nocy na dziedzińcu w koszarach jakiegoś starannie płaszczem okrytego mężczyznę, który go zatrzymuje, mówiąc, iż mu coś ma powierzyć, co jednak tylko samemu królowi wyjawić może; — i musi mu na to wprzód przysięgę złożyć. Przestraszony żołnierz składa okropną przysięgę i słucha co mu nieznajomy powierza. Poczem tenże znika bez śladu, a żołnierz melduje rzecz feldweblowi, wzbraniając się przeciwz udzielić mu tajemnicy, ponieważ wolno mu jest tylko samemu królowi ją oznajmić. Dostawszy gorączki z przestachu, zostaje oddany do lazaretu, lecz trwa uporczywie przy swoim zeznaniu, które następnie przez wszystkie stopnie wojskowej subordynacji, od kapitana do majora, od majora do półkownika i t. d. aż do księcia pruskiego dochodzi. Wszakże i temu niechce żołnierz powiedzieć, co mu owa nieznajoma osoba zwierzyła, upierając się przy tem iż tylko królowi wykryć to może. W końcu za pośrednictwem księcia pruskiego otrzymuje posłuchanie u króla, wyjawia mu tajemnicę, a król miał zawołać zdziwiony: »To dziw nie do pojęcia!» Zresztą nikt o tem nic więcej nie wie, a wszyscy Berlińczycy, od najwyższego do najniższego, giną z ciekawości.

Redukcja polskiej monety, Gazeta Kolońska donosi z Warszawy: Na początku przeszłego r. wyszedł ukaz, aby się do miesiąca października roku 1846, wszystkie monety polskiej pozbyto. Polskie pięć- i dziesięcio-groszówki były od wielu lat w niezmierniej ilości po kraju rozszzerzone; rossyjskich zaś drobnych pieniędzy nigdzie prawie nie znano. Nagle rozbiega się pogłoska, iż polskie dziesięcio-groszówki wyszły z kursu, i że wkrótce nikt ich przysięgając nie zechce. Ubodzy ludzie nie mogli chleba dostać, gdyż piekarze wzbraniali się przyjmować groszówki, a wszyscy zarządcy fabryk byli w największym kłopotcie, jak robotnika zapłacić, oile że nigdzie zdawkowej monety rossyjskiej nie było. Nie małą pociechę sprawiła wiadomość, iż pewien wexlarz te groszówki po 60 od sta przyjmując, a gdzieindziej przynajmniej polskiego sukna, lubo ze znaczną stratą, za nie dostać można. W takim zamieszaniu przychodzi dyrekcyja teatrów na myśl przysięgając tę monetę po jej dawnej wartości, co też na afiszu ogłoszono. Wszystko więc co żyje rzuciło się od rana do kasy teatralnej i ledwie dziesięć rąk mogło nastarczyć pracy zagartywania pieniędzy. Około południa nie było już ani jednego biletu, a wieczorem cisnęło się jeszcze tyle ludu do kasy, iż się trudno było od niego obronić. Dawano wiaśnie „Precyjozę“ która zapewne nigdy dotąd tak liczną publiczności nie zwabiła.

Ten natłok trwał przez cztery wieczory, wciągu którego czasu, dyrekcyja przeszło dwa tysiące rubli w tych groszówkach zagarnęła. Tymczasem podniosła się nieco ich wartość, tak iż wszyscy Żydzi po 75 od sta je przyjmowali.

Znana szulernia w Akwisgranie jest jednym z największych zakładów w swoim rodzaju. Przegrane w niej od czasu jej istnienia około 6 milionów talarów. Jak słychać ma być jej kontrakt aż do roku 1852 przydłużonym. Czysty dochód z niej wynosił w roku zeszłym 200.000 talarów. Część tego dochodu będzie obroćna na odnowienie starożytnej sali cesarskiej w ratuszu akwisgrańskim, na co około 120.000 talarów potrzeba.

Dziwotwory dawne i nowe. Słynny amerykański karzeł Tom Thumb, który za najmniejszego ze wszystkich znanych karłów uchodzi, a z tak nadzwyczajnym zachwyceniem niedawno w Londynie i Paryżu był przyjmowanym, bawi obecnie w Berlinie, i zwabia również liczną publiczność, przyczem ku powszechnemu zadowoleniu pali cygaro, częstuje panów tabaczką z swojej mikroskopijnej tabakiereczki, panie skrapia perfumami, a wreszcie trzy piosinki gminne, — dwie holenderskie, jedną angielską, — a prócz tego aryję z „Niemiej z Portici“ śpiewa. Tamże w Berlinie podziwiają także 14letnią dziewczynę z Austrii, której na plecach mężka, bo nierównie mocniejszymi niż zwykle u kobiet muszkulami opatrzona noga wyrosła. Sławny Berliński operator Diefenbach, zhadawszy dokładnie to igrzysko natury, chciał dziewczynę tę nogę odjąć, lecz ojciec, który podróżuje z dziewczynką, i jak się zdaje, głównie z jej kalectwa się utrzymuje, nie dał się żadną miarą do operacyi nakłonić.

Wyrównanie. Niedawno temu odbyło się wesele, gdzie pan młody liczył lat siedmdziesiąt, panna młoda tylko dwadzieścia. Na zapytanie: czy też ta nierówność wieku, broń Boże!, jakich złych skutków nie sprawi? — „Nie“ odpowiedział nowożeniec — „bo gdy ja na moję żonę spojrzę, to mi zaraz z 25 lat ubędzie, a gdy się moja żona na mnie popatrzy, to się zaraz o 25 lat postarzeje — a tak wyrównywa się różnica.“

Ochotnicy. Pewien podróżujący po Kolumbii Europejskiej, wynarzał przed komendantem twierdzy Tocayman zadziwienie, iż w tamedcznym więzieniu tyle młodych ludzi się znajduje, a w końcu zapytał, czy tu tak wiele rozbojów i zabójstw się wydarza? — „Nie“ — odrzekł spokojnie dowódca — „ludzie w tułtejszych stronach są bardzo spokojni i poczciwi; ci więźnie zaś, którzy pana tak zdziwili, są to ochotnicy z prowincyi Neyva, mający być odstawieni do nowozałożonego pułku w Bogota. Zamknięto ich tymczasowo aby nie puciekali.“

Palenie tytoniu wzbronione. Londyński dziennik „Punch“ lęka się aby wkrótce wszelki dym prócz dymu z kominów zabronionym nie został. Księżę Wellington zakazał palić tytoni żołnierzom, królowa Izabella studentom, a rząd Neapolitański, jak słychać, Wezuwiuszowi.